

Alicja Szalkiewicz

Sygnatura notacji: **N1596**

Data urodzenia: **02.01.1930 r.**

Data nagrania: **21.06.2021 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **46 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Alicja Szalkiewicz: Nazywam się Alicja Szalkiewicz, więc zacznę oczywiście od dzieciństwa. Pamiętam, że w 1936 roku mój ojciec, który był kolejjarzem, został skierowany do pracy na stacji w Falenicy. Nawet ten okres dosyć dobrze pamiętam. Wtedy jeździły już pociągi elektryczne. Mój ojciec w związku z tym był skierowany do Falenicy, ponieważ miał odpowiednie wykształcenie czy wykształcenie, żeby móc pracować w tej branży. I pierwsze lata, te lata dziecięce, wspominam dobrze. Mieszkało się na stacji, miałam dużo znajomych dzieci, myśmy stację uważali za swoje podwórko, teren do zabawy. Później w szkole też było fajnie. Chodziłam do szkoły z dziećmi też żydowskimi, z którymi się przyjaźniłam. I to takie były lata, oczywiście do 1939 roku, sielskie, anielskie. Te lata dobrze, miło wspominam. Ale niestety później nastąpił rok 1939, 1 września. To wtedy zaczęło się dziać coś dziwnego. Wybiegłam na peron i zobaczyłam od strony Józefowa jakieś huki, odgłosy, ciemność, działo się coś strasznego. I to był początek wojny. 1939 rok, wrzesień. Więc moja rodzina i kolejjarze, którzy mieszkali w tym budynku stacyjnym w Falenicy, wszyscy musieliśmy stamtąd uciekać. I wtedy, to jeszcze było we wrześniu, mieszkaliśmy u jakichś znajomych ludzi, z dala od stacji. Pamiętam też taki dzień, bo 19 września była wielka bitwa o Falenicę. Ja wtedy nie wiedziałam, o co to chodzi, ale wiem, że bawiłam się z dziećmi na podwórku i nagle jakieś strzały, usłyszeliśmy jakieś strzały, więc rodzice nas zapędzili do domu, żeby się w ogóle tam nie pokazywać. A to chodziło o to, że to rzeczywiście była strzelanina za kościołem, chyba byli Niemcy czy tam Polacy. Tak się toczyła ta bitwa. To było tyle. Później już wróciliśmy do stacji. I zaczęło się normalne życie, jeśli to tak można nazwać. Co mogę pamiętać? Mój ojciec, najpierw nie wiedzieliśmy, czy nas w ogóle nie wypędzą z tego domu. Nawiasem mówiąc, dom, w którym mieszkaliśmy, to pierwotnie był stacją kolejową założoną, ten budynek ma chyba około stu ileś lat. Tam dużo mieszkało kolejjarzy. Więc, jak wspominałam, mój ojciec najpierw był jakimś robotnikiem, coś tam jeszcze robił, ale później Niemcy się zorientowali, zatrudnili ojca

jako dyżurnego ruchu. Więc jeśli chodzi o kolejarzy niemieckich, to uważam, że oni byli dosyć przyzwoitymi ludźmi, częstowali mnie nieraz cukierkami, byli dosyć przyjaźnie, jeśli tak można powiedzieć, nastawieni do mojego ojca. Więc jakoś to wszystko trwało, ta wojna, ale niestety w 1942 roku, kiedy byłem w szkole, ktoś przyszedł i powiedział mi, że mojego ojca aresztowano. Więc proszę sobie wyobrazić, mam 12 lat i taki cios. Wracam do domu przerażona i z matką jesteśmy obie przerażone, bo nie wiemy, czy nas wypędzą z tego domu, jaki będzie nasz los. Ale się okazało, że Niemcy, właśnie ci kolejarze, znowu się zachowali dosyć przyzwoicie: zatrudnili moją matkę jako kasjerkę. Ja chodziłam gdzieś do szkoły później. Później mojego ojca aresztowano. Więc matka jeździła gdzieś tam na Majdanek czy już nie pamiętam gdzie, żeby się dowiedzieć, za co, dlaczego ojciec został aresztowany. Więc powiedziano nam, że powodem aresztowania, to taki był tytuł: za sprzyjanie Żydom i komunistom. Ja oczywiście wtedy niczego nie rozumiałam, o co to chodzi. Wiem, że mój ojciec należał do PPS-u. Wtedy to wszyscy kolejarze należeli do tej partii. I po latach dowiedziałam się, że ojciec też pracował, był w tej organizacji. I kolejarze często zatrzymywali pociągi niemieckie. Czasem nawet tam coś od nich wyciągali z tych wagonów, żeby to potem spieniężyć i pomagać ludziom, rodzinom ludzi, którzy byli aresztowani. To można by szerzej mówić na ten temat. Ja dopiero po latach się właściwie zorientowałam, już jako dorosła, jak duże zasługi miał między innymi mój ojciec i kolejarze z Falenicy, jeśli o to chodzi. Jeszcze jako ciekawostkę powiem tak, że przed wojną przyjechała do Warszawy też moja ciocia, siostra mojego ojca, która przed samą wojną zatrudniła się u państwa Konorskich, to byli Żydzi, i była boną ich syna, chłopca, który się nazywał Janusz Konorski. Myśmy byli w podobnym wieku i się przyjaźniliśmy. Ale później, w czasie wojny, kiedy Warszawa została zbombardowana, oni mieszkali przy Marszałkowskiej 63, to pamiętam, nie mieli do czego wrócić, bo te budynki były zbombardowane, więc oni byli Żydami, ale właściwie nie przyznawali się do tego, ale i tak było niebezpieczne dla nich. Więc oni się rozdzielili. Ojciec mieszkał u kogoś, a Janusz z moją ciocią mieszkali u nas na stacji w Falenicy. Ja też po latach sobie dopiero zdaję sprawę, jakie to było niebezpieczne. Przecież do nas bardzo często przychodzili Niemcy, tak jakby koledzy, w cudzysłowie, mojego ojca i w każdej chwili mogli wejść i zobaczyć, że jest jakiś Janusz, a on miał wygląd taki trochę typowy, czarne włosy i można było go posądzać o to, że jest pochodzenia żydowskiego. Więc tak było zrobione, że w kuchni, najpierw się wchodziło do kuchni, była wielka kłapa do piwnicy i jak się słyszało pukanie, to otwierało się tę kłapę, Janusz się tam chował. Wtedy to mojego ojca już nie było. I później ten jego pobyt to był nawet dosyć ciekawy. Myśmy nie bardzo rozumieli, co to wojna czy coś. Myśmy się kolegowali, chodziliśmy na spacer. Lubiliśmy się bardzo. Jako ciekawostkę powiem, że aż zaszliśmy gdzieś pod Józefów i tam zobaczyliśmy willę taką w stylu świdermajer. I tam była taka tablica, napis „Alicja i Janusz”. Więc to było takie bardzo fajne przeżycie. Ale później baliśmy się już wychodzić. To już się zbliżała pora likwidacji getta. Janusz był tą charakterystyczną postacią, więc on już prawie nie wychodził z domu. Tylko ja chodziłam do szkoły. Potem się z nim dzieliłam tymi przeżyciami. On mieszkał u nas najpierw z ojcem, potem z moją ciocią tylko w 1942 roku, to chyba 3/4 roku byli u nas. Ale było to niebezpieczne. Narażaliśmy się tym, a później, jak już utworzono getto, to moja ciocia się wyprowadziła i wzięła tego Janusza ze sobą. I mieszkała z nim na Grochowie. To jeszcze krótka wzmianka. Dzieci żydowskie chodziły ze mną do szkoły, to była taka wielka szkoła w Falenicy imienia Jachowicza. Więc myśmy się z tymi dziećmi kolegowali, przyjaźnili, to było normalne, ale później myśmy z Januszem przez okno, bo to getto było naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie ulicy Patriotów, przed wojną może się inaczej nazywała. I patrzyliśmy, co się tam dzieje. Jakieś płoty, myśmy tak przez okno podglądali tam, jakieś płoty, jakieś krzyki, jakieś zamieszania i potem już normalnie tam był płot, widziało się sylwetki ludzi przechodzących, czasem jakiś płacz. W ogóle jak gdyby inny świat, nie wiedzieliśmy, co to się dzieje. To było przerażające. Nieraz

jakiś płacz, czasem jak szliśmy ulicą, to też patrzyliśmy, co się tam dzieje w tym getcie. To było coś z innego świata dla dziecka, którym byłam. Nie rozumiałam tego, o co to chodzi, że ci ludzie są tak zamknięci w takiej izolacji, a ja na przykład mogę swobodnie chodzić. To była dla mnie nie do zrozumienia taka sytuacja. Więc właśnie w 1942 roku, to pamiętam, chyba w sierpniu była likwidacja tego getta, to ja widziałam, bo tych ludzi spędzono na stację w Falenicy do takich wagonów bydlęcych, i jeszcze widziałam cały sznur ludzi, którzy już nie pamiętam skąd, oni z okolic jeszcze byli spędzeni, nie tylko z Falenicy. I ja to widziałam. Oczywiście częściowo, tak, bo to całe tłumy ludzi z jakimś tobołkami szły i później wsadzali ich do tych wagonów. Słyszałam krzyki, bo to blisko mieszkałam na stacji, krzyki, jakieś bicia. To było w ogóle straszne. I później to nie było tak, że ich zamknęli, zasunęli drzwi w tych wagonach, bo to wagony takie bydlęce, że oni odjechali. Tych ludzi trzymali, nie pamiętam, dzień czy dwa trzymali w tych wagonach. I ludzie z Falenicy, między innymi ja też, słyszeliśmy te krzyki i płacze tych ludzi. To pamiętam do dzisiaj, to takie niesamowite. Później wreszcie ich wywieziono, wiadomo, gdzie i w jakim celu. To było w ogóle nie do pojęcia. Jeszcze pamiętam taką sytuację, że szłam gdzieś z koleżanką blisko torów, gdzieś taką ulicą, i po drugiej stronie widziałam, że byli Niemcy z karabinami. I później jakiś młody człowiek zaczął biec, uciekać tam od tych Niemców. I oni coś krzyczeli tam na niego, jakieś „halt!”, nie pamiętam dokładnie co. I oni go zastrzelili. Ja to widziałam z daleka, po drugiej stronie torów, ale taki obraz dla dziecka, jak strzelają do człowieka, to zostaje w pamięci, i to na długo. Tak że ta wojna zaczynała pokazywać swoje straszne oblicze. I teraz taka sytuacja, więc mojego ojca nie ma. Jest w wielu więzieniach. Po latach się dowiedziałam, że mój ojciec był chyba w 5 czy w 6 miejscach kaźni, nawet w Niemczech też był, na Majdanku, w Oświęcimiu. Chorował na tyfus, ale mimo wszystko przeżył, bo mój tata był bardzo rozsądnym człowiekiem i prowadził zdrowy tryb życia. Mnie też zawsze zabierał na spacer, kazał oddychać głęboko, jeździł do zielarza. Może dzięki temu był zdrowy i może dzięki temu przeżył też. Co prawda był młodym człowiekiem, miał chyba 36 lat, jak go aresztowano. Przypominam sobie, że do naszego domu, do mojego mieszkania przychodziło też dużo ludzi. Potem się dowiedziałam, że to też byli ludzie z jakiejś organizacji. Czasami ktoś przychodził zanoć. To ja nie znałam tych ludzi nawet dobrze, skorzystali z tego, że mogą przenocować, i potem gdzieś wychodzili dalej. Czyli ludzie z jakiejś organizacji, którzy jakieś sprawy załatwiali. O, i pamiętam jeszcze rok 1939 chyba, Wawer, dobrze mówię? 1939? Tak, ja wiem, że ja byłam sama. Był ze mną tylko jakiś wujek czy już nie pamiętam kto. I potem myśmy się dowiedzieli, bo to jakiś taki był szum wszędzie, dowiedziałam się, że to w drugi dzień świąt zamordowano około 106 ludzi w Wawrze. I wiem dlaczego. Nawet jeśli mogę, to krótko opowiem. To było tak. Drugi dzień świąt, noc. I taka była restauracja Bartosza blisko stacji. I tam się schowali do niego jacyś zbiegowie czy jak to się określa, uciekinierzy z więzienia w Lublinie. Ale to byli bandyci, normalnie uciekli z więzienia i oni się na razie ukryli w tej restauracji u Bartosza. I potem w nocy tacy banszuca, zapamiętałam to słowo, to jacyś strażnicy kolejowi, zapukali do tego Bartosza, żeby tam wejść. I jak się dostali tam, to jeden z tych ludzi zaczął do nich strzelać. I to się tak zaczęło. I wtedy zwołali całą ekipę jakichś ludzi, wojska, już nie wiem, z Warszawy przyjechali. I ci ludzie, to ja znam z opowieści, wyciągali ludzi od 16 roku życia chyba do iluś tam. I właśnie około 106 ludzi zastrzelili tam w tym Wawrze. To jak zaraz o tym usłyszałam, oczywiście to było wszystko takie przerażające. Tak że wojna to jest straszna rzecz. Ona zostawia po sobie jakieś piętno, człowiek pamięta o tym przez długie lata.

Artur Kłus: Czy pamięta pani powrót ojca i czy ojciec opowiadał o swoich przeżyciach z obozu?

Alicja Szalkiewicz: Więc tak, prawdopodobnie ojciec wrócił w 1945 roku. I to już gdzieś, chyba nawet z Czecho-

słowacji, bo aż tam gdzieś go zawlekli po tych różnych obozach. Właśnie to jest charakterystyczne, że ojciec nie chciał o tym opowiadać, bo to były tak straszne przeżycia, że słyszałam, że wielu ludzi nie chciało opowiadać o tych przeżyciach tam. Czasem potem coś wspominał. Dla mnie najważniejsze było, że 3 lata nie widziałam ojca, że wrócił i że żyje w ogóle. Pamiętam też, że wtedy, kiedy aresztowali mojego ojca, to jeszcze aresztowali wielu mężczyzn z Falenicy, którzy należeli też do organizacji. I między innymi zapamiętałam nazwisko pana Świderskiego, bo ja z jego córką chodziłam do szkoły. Marysia chyba Świdowska. Jeszcze taki moment pamiętam, że tego pana Świderskiego to zabili, a mój ojciec przeżył. I pamiętam, że po aresztowaniu tego pana między innymi, bo jeszcze innych ludzi, ta moja koleżanka, widocznie nie mogły sobie poradzić, ona stała na ulicy i żebrała. Bo stracili ojca, chlebodawcę, prawda? Może matka nie mogła sobie poradzić, to ja to pamiętam do dziś. Stała na ulicy i płakała ta Marysia. Aha, jeszcze tak. Dalszy ciąg. Na stacji ciągle jeździł taki pociąg pancerny. I to raz strzelali Niemcy, raz Rosjanie, zależnie od sytuacji. I później już w 1944 roku, kiedy chyba było już powstanie w Warszawie, to nasza rodzina, to znaczy ja z matką, wtedy jeszcze mieszkała w Falenicy taka moja ciocia też ze swoją córką, czyli moją taką siostrą cioteczną. I myśmy musieli uciekać. I mieszkaliśmy przez dłuższy w kotłowni w Falenicy. Bo trzeba było się z tego domu wyprowadzić. I pamiętam taki moment, że matki nas wysyłały gdzieś do kogoś na kozie mleko, żeby się napić. Coś do jedzenia, więc taki dzień pamiętam, że my z tą siostrą, która była trochę starsza ode mnie, wracałyśmy już do naszego domu w cudzysłowie, czyli do kotłowni, i wtedy się zaczęła strzelanina właśnie na stacji, ostrzeliwał ten pociąg pancerny albo jego, albo ten wagon, ten pociąg był ostrzeliwany. To pamiętam jak dziś, że myśmy padły na ziemię i po takich schodach do tej stacji przeczłapałyśmy się szybko, żeby nas nie zastrzelono, do tej piwnicy, tam się schroniłyśmy. I jeszcze taki moment pamiętam, że czasami któraś z naszych matek, to znaczy albo moja ciocia, albo moja mama chyłkiem się przemykały do domu przez takie podwórko, tam ogród, szły, żeby coś ugotować. Bo jak to się można było żywić? I jak Niemcy już wtedy właśnie uciekli, przyszli Rosjanie. I jeden z Niemców, pamiętam nawet, że nazywał się Plicz, który pracował z moją matką w kasie, tak, też był kasjerem, i on był dla nas życzliwy. I miał pieska, który się nazywał Pimpus, to będzie trochę humorystyczne. Ten Pimpus poleciał za ciocią. Tam poleciał, się chciał bawić czy coś i niestety jakiś odłamek, szrapnel tak zwany, uderzył w tego Pimpusia i Pimpus zginął. Dobrze, że tej cioci się nic nie stało. Ale my dziewczynki takie, ta Irka, moja siostra, i ja płakałyśmy długo po tym Pimpusiu. To taki moment trochę, ale ciekawy, to człowiek po latach pamięta.

Artur Kłus: A jak było właśnie, jak Niemcy wyszli w miasto i przyszli Rosjanie?

Alicja Szalkiewicz: Uch. To było bardzo niemiłe spotkanie, więc przede wszystkim oficer niemiecki, przepraszam, rosyjski, przyszedł też do naszego domu i zabrał nam łóżko, które miało niklowane ramy. Więc on myślał pewnie, że to są srebrne ramy, i dosłownie zabrał nam łóżko. To pamiętam jako taki rys charakterystyczny. I pamiętam, że Warszawa płonęła. Widać było te dymy nad Warszawą. Jak myśmy jeszcze były w tej kotłowni. Więc się wyglądało nieraz tam. A ci Rosjanie to też tylko się przyglądali tam i bardzo byli chętni na zegarki. To pamiętam: „Dawaj časy”, mówili wielu ludziom. I pamiętam, jeden to miał chyba z 5 zegarków na ręku. Ale oni na razie niby byli przyjaźnie nastawieni, ale pamiętam ich kobiety, żony, potem tam czasami urządzali jakieś zabawy czy co, to one nawet się ubierały w jakieś koszule nocne czy jakieś coś, które dla nich stanowiły bogaty strój. To są takie trochę żartobliwe rzeczy, ale to człowiek pamięta z tych lat.

Artur Kłus: Jak po latach wyglądała pani znajomość z panem Januszem?

Alicja Szalkiewicz: Więc tak, Janusz, zaraz po wojnie oni dostali propozycję. Oni to znaczy on z matką, bo ojciec Janusza zmarł w czasie wojny, nie wiem, czy 1943, czy któryś rok, oni nawet nie wiedzieli, gdzie i co. To dopiero po latach się okazało. Więc zostali sami z matką i po latach organizacje żydowskie, które zawsze dbały o swoich, zaproponowały im, żeby albo pojechali do Palestyny, bo wtedy nie było jeszcze Izraela, albo do Francji. Więc oni zdecydowali się na Francję, do Paryża. I właśnie pojechali w 1946 roku. To ja miałam 16 lat, Janusz też mniej więcej, tam o pół roku czy ile był młodszy. Pojechali do Paryża i tam się już osiedlili. Najpierw mieszkali w jakimś pensjonacie. Januszowi na początku było trudno, bo nie znał języka, ale był zdolny. On potem skończył studia, został architektem nawet dosyć znanym. Ale korespondowaliśmy ciągle ze sobą i później, w 1981 roku, dostałam zaproszenie. Pojechałam z córką do Paryża. Janusz długo nie chciał przyjechać do Polski. On przyjechał tutaj chyba w 1993 roku. To był jego pierwszy przyjazd do Polski. Już musiał odreagować jakoś to wszystko. Tak że przyjechał, a później ta znajomość, wizytowaliśmy się, dla mnie Paryż, wtedy zobaczyłam po raz pierwszy Paryż w 1981 roku chyba. „Solidarność” powstała w 1981 roku, prawda?

Artur Kłus: 1980.

Alicja Szalkiewicz: 1980, ale ja pojechałam w 1981 roku. Tak, to pierwszy raz. To wtedy to dla nas było przeżycie, u nas był ocet na półkach, nędza w ogóle straszna. A ja miałam takie szczęście, że ponieważ pracowałam w kolejowej służbie zdrowia, to kolejarze dostawali wtedy bezpłatne bilety i takie nawet, że można było pojechać za granicę. I właśnie raz z tego skorzystałam. Pojechaliśmy pociągami. Wielkie przeżycie. U nas ocet na półkach nędza, a tam! Moja córka była młodą dziewczyną wtedy, więc to była dla nas frajda. Taki Paryż to w ogóle. Ta przyjaźń z Januszem została do dzisiaj.

Artur Kłus: Jakbyśmy tak cofnęli się jedną nogą do tej przedwojennej Falenicy, bo tam było wiele ciekawych rzeczy, były te letniska szczególnie, w ogóle ulica Handlowa.

Alicja Szalkiewicz: Taka ciekawostka. Więc ja mówię, bo tam mieszkali kolejarze, mieli dzieci, więc to było moje tak zwane koleżeństwo, więc myśmy biegali po peronie. To my uważaliśmy, że to są nasze tereny takie do zabawy. I tam jest charakterystyczny dom, który był toaletą. Tam dzisiaj jest chyba kawiarnia zrobiona, nie pamiętam. To nam się wydawało, że to jest pałac taki, bo rzeczywiście, budowla z takiej czerwonej cegły, bardzo ładny budynek. Wca- le nie wyglądał na to, czym był w istocie. A. Więc tak, mój ojciec był bardzo lubianym człowiekiem. Tak pamiętam, że zawsze pan Sobczyk, pan Sobczyk. I tata mnie zawsze pytał: „Czy powiedziałaś dzień dobry?”, tam jakiemuś robotnikowi, „Czy powiedziałaś dzień dobry panu Kowalskiemu?”, czy tam innym. Bardzo mnie przestrzegał, żebym się grzecznie zachowywała. I wiem, że Żydzi właśnie bardzo dużo handlowali, to sobie przypominałam, drobiem handlowali. Tak że ojciec też w tym uczestniczył, bo czy kontrolował, czy jakoś załatwiał te sprawy. „No, panie Marian”, czasem niektórzy mówili, tak już poufale. „No, panie Sobczyk”. I oni tak szybko, tak szwargotali, jakoś trochę po polsku, trochę po żydowsku. To też było dla mnie taką ciekawostką. Poza tym pamiętam, jak mój ojciec do każdego pociągu musiał wychodzić, zakładał czerwoną czapkę. Pociągi chodziły z dokładnością naprawdę fantastyczną. Nie

ma dzisiaj czegoś takiego. Ale mój ojciec jak wychodził w tej czerwonej czapce, taki poważny, z jakąś tam taką, nie wiem, jak to się nazywało, taką rączką czy jakimś takim sygnalizatorem. Szedł wyprostowany bardzo. Im się wydawało, że to wiele rzeczy zależy od mojego ojca, że ojciec robi znak i cały pociąg rusza. To znaczy ja to opowiadałam tak jakby oczami dziecka. To dla mnie było bardzo ciekawe. A ta stacja jaka była piękna przed wojną. To też. I bawiliśmy się też na tej stacji. To ja uważałam, że naprawdę fajne dzieciństwo miałam, takie sielskie. Nikt nie przypuszczał, jak to się szybko zmieni. Po drugiej stronie była ulica Handlowa. Wiem, że ojciec nawet wypożyczał tam często rower od Żydów. Bo to nie kupowało się tak zaraz. I uczyłam się jeździć na tym pożyczanym rowerze. Później rzeczywiście tam było dobre zaopatrzenie, dużo dobrych rzeczy się kupowało, jakieś różności takie od tych Żydów. I to była taka więź, to znaczy taka koegzystencja właściwie. Oni byli zadowoleni, że Polacy przychodzą, że mogą sprzedać swoje towary. Ja pamiętam do dzisiaj, że tam był sklep Bata. To znana firma czeska. Buty. Jeszcze co zapamiętałam przed samą wojną, nie. Bereza Kartuska, kiedy to aresztowali ludzi? Pamiętam także, aresztowano jakiegoś Żyda i zamknięte były, to znaczy sklep już nie funkcjonował, zamknięte były okiennice i był taki napis, czy oszukiwał, jakiś taki był termin, którego nie pamiętam. Coś w tym sensie, że źle się sprawował, coś takiego. „Pojechał do Berezy”. Taki był napis na tej okiennicy. Ja pamiętam, zawsze tam było pełno ludzi. Pamiętam Żydówki w perukach, takie siedziały sobie starsze panie, dosyć tęgie. Nam się to bardzo podobało, bo to tam było zawsze tak gwarno, wesoło. To był troszkę inny świat, bo to było po drugiej stronie torów. To jeszcze wspomnę, że tam było dużo willi w tak zwanym stylu świdermajer. Ja pamiętam, że to były piękne budynki, te piękne werandy, jakieś rzeźbione drzewo, taka budowa bardzo interesująca. Więc pamiętam, że tak to zawsze było ożywione w czasie lata. Bo te domy były przygotowane właśnie, stąd letniska, że tylko w okresie letnim przyjeżdżali ludzie z Warszawy, z różnych stron, i to nie tylko Żydzi, ale i Polacy. Wynajmowali sobie czasami na 2 miesiące czy całe wakacje. Bo tam nie było pieca, nie było urządzeń, które by pozwalały przetrwać zimę, tylko rzeczywiście letni, stąd te letniska, to wtedy bardzo było tak gwarno w tej Falenicy. Nowi ludzie przyjeżdżali, jakieś nowe koleżanki. Tak jak dla mnie jako dziecka to było bardzo ciekawe. Spacerowało się, oglądało się te wille. Falenica się tak zagęszczała przez to, przez ten ruch itd.

Artur Kłus: Jak jeszcze tata mieszkał z wami, to mówiłaś, że przewijali się ludzie, żeście jakichś partyzantów przechowywali? W sensie tam ktoś się przewijał, tak? Oprócz Janusza mam na myśli.

Alicja Szalkiewicz: Tak, więc ja wiem tylko, że ojciec mój, często właśnie jacyś ludzie przychodzili i ojciec mi wtedy polecał, żebym poszła się bawić na podwórko z koleżankami, i dopiero ja się po latach dowiedziałam, o co chodziło. Tak że nieraz to była godzina, dwie, trzy, jakieś rozmowy prowadził. Po prostu jakieś sprawy tam takie załatwiał swoje, o których nie mogłam wiedzieć. Więc różni ludzie przychodzili. To się okazuje, że jacyś ludzie z konspiracji, jakieś były narady. Tak, to pamiętam. Wtedy nie mogłam w tym uczestniczyć. Ale na szczęście na podwórku była taka fajna górką wysoka, a tam była piwnica po prostu, bo nie wiem, chyba nie było wtedy lodówek, to w takiej piwniczce się trzymało żywność, a po tej górze to się bawiłam stale. Pamiętam, jak się zjeżdżało z tej góry. Wtedy, to ciekawostka, toalety oczywiście były na dworze, nie było tego w mieszkaniu. To jest zdjęcie mojego taty, to jest moje zdjęcie z komunii. To zdjęcie to już po wojnie w sukience unrowskiej. Po prostu Ameryka pomagała w Polsce, ta instytucja UNRRA się nazywała i oni tam nam dawali czy takie, to była duma, bo przecież wtedy nie było w ogóle się w co ubrać. A dostałam taką piękną sukienkę i to taka pamiątka, a to jest zdjęcie cudowne z Januszem po latach, jak przybył do Warszawy. To zdjęcie jest chyba sprzed 15 czy 10 lat. Jesteśmy przed domem w Falenicy, tam, gdzie on się ukrywał. Napisał książkę.

Artur Kłus: To są wspomnienia?

Alicja Szalkiewicz: Wspomnienia Janusza z czasów jeszcze przed, to jest bardzo ciekawe, bo opisuje czasy też przedwojenne. To jest świetne. Jest zdjęcie jego w takiej czapce śmiesznej, jeszcze jak jest z jakimś pieskiem. Aha, jako ciekawostka powiem jeszcze o Januszu taką historię: jego ojciec był bardzo przywiązany do Polski. On znał „Pana Tadeusza”, uczył Janusza też różnych rzeczy po polsku. Janusz dopiero w czasie wojny dowiedział się, że jest Żydem. To jest niezmiernie ciekawe. Jak to wynikło? Więc w szkole, chodził do ekskluzywnej szkoły. Jego tata był chyba prawnikiem, był bardzo wykształconym naprawdę człowiekiem, władał kilkoma językami. Mama jego też była wykształcona, grała na pianinie, tam jakieś były przyjęcia, a Januszek był pod opieką mojej cioci Geny, właśnie tej guwernantki, która go kochała w ogóle jak własnego syna. I w szkole, więc Janusz dopiero w czasie wojny dowiedział się, że jest Żydem, w szkole dokuczali jakiemuś chłopcu, tak jak to w szkole, i ten chłopiec się popłakał. Więc Januszek doszedł do niego, pogłaskał go po główce i mówi tak: „Słuchaj”, tam jakiś Wojtuś, wszystko jedno co, „Ty nie płacz. Nie płacz tak. Chociaż ty jesteś Żydem, to ja ciebie lubię”. To jest kapitalne, naprawdę, zdarzenie. A wtedy po południu ojciec tego chłopca zadzwonił do ojca Janusza, nawymyślał mu, co to w ogóle ma znaczyć. Rozumiecie państwo, jak to wyglądało?

Artur Kłus: A z Januszem masz dzisiaj kontakt?

Alicja Szalkiewicz: No tak.

Artur Kłus: Co was łączy?

Alicja Szalkiewicz: Nasz kontakt, od czasu do czasu dzwoniemy, czasem sobie jeszcze wspominamy różne dzieje. Janusz mówi do mnie ciągle „Alinka”, bo tak byłam nazywana w dzieciństwie. I to jest człowiek, on mi imponuje tym, że mimo lat i tylu przeżyć on ma takie wspaniałe poczucie humoru. To jest człowiek zawsze pogodny, uśmiechnięty. A on taką tragedię jeszcze w życiu, że tam skończył architekturę, studia. I ożenił się też z taką piękną Żydówką z Maroka, chyba do tej samej szkoły chodzili. Zakochał się, więc się pobrali. I on miał dwoje dzieci. Więc miał syna, Mikaela chyba, który, taka sytuacja, już był też na studiach, też architekturę studiował. Przyszedł do mamy i mówi: „Mamo, daj klucze, to ja pojedę tam do kolegi samochodem”, i tak pojechał, że się zabił, to była straszna tragedia. Syn, nadzieja rodziców, jakiś miał wypadek czy co, że zginął, więc Janusz parę lat nie mógł do siebie dojść. Na szczęście miał jeszcze córkę Martynę, która teraz przyjeżdża z Januszem do Warszawy, to znaczy przyjeżdża, już razem przylatują samolotem. Biorą udział w różnych spotkaniach. Był kręcony film „Falenicka Atlantyda”, gdzie bierzemy udział z Januszem w tym filmie, tak że mamy dosyć ciekawe życiorysy, że akurat tak trafiło na nas. Że mieliśmy takie, a nie inne przeżycia. I do dzisiaj ta przyjaźń zostaje.

Artur Kłus: A jaki jest klimat dzisiaj Falenicy, zostało coś z tamtej starej Falenicy?

Alicja Szalkiewicz: Ja teraz bardzo rzadko bywam w Falenicy. Pamiętam jeszcze, że tam było kino Bałtyk przed wojną, to się tam chodziło. Potem chodziło się na Błota. To jest też część Falenicy. Wiem, że tam miał dom czasowy

taki prezydent Mościcki, to tak z opowiadań wiem. I tam w stronę Wisły te tereny to bardzo, bardzo fajne, na spacerzy się chodziło tam. Pamiętam, że była taka sosna. Sosna. Wszystko jedno, na której można było siedzieć, bo ona miała tak, tu rośla, potem taki miała, tak się zrobiło, że tak jakby miejsce do siedzenia, to tam się chodziło do tej sosny tam się bawić. Bardzo ładne tereny były Falenicy, te Błota, chodziło się nad Wisłę. Albo też jeździłam do Świdra jako dziecko, to przed wojną, pamiętam. O, jeszcze przypomniła mi się taka rzecz, moja mama czasami była wysyłana, też pracowała w Świdrze jako kasjerka. To tam się do mamy też przyjeżdżało i taki moment humorystyczny: był tam taki kolejarz, jakby taki strażnik, coś takiego. I pamiętam taką historię, że do Świdra przyjeżdżało dużo ludzi tam, żeby pójść nad rzekę odpoczywać. On pilnował tam peronu. I taki był moment, że przyszła jakaś pani w stroju kąpielowym, to już jako humoreska. Chciała wejść na peron, a ten pan nie chciał jej wpuścić i mówi tak: „Bilet, bilet proszę”. Tak mówił: „Bilet proszę”. Ona mówi, że nie ma biletu, bo ona wyszła po kogoś na stację, ktoś ma przyjechać pociągiem. I on mówi tak: „Co? Nago i bez biletu?”.

Artur Kłus: A powiedz jeszcze tylko, ty pisałaś wiersze, a Janusz rysował?

Alicja Szalkiewicz: A Janusz rysował. Tak, ja pisałam wiersze. Ale nie pamiętam, czy to było jeszcze za Janusza, ale takie coś, uczyłam się historii starożytnej. Więc to mnie bardzo pociągało, ale to było takie Adonis, o takie, dla takiej dziewczynki dwunastoletniej to Adonis, jakiś taki piękny królewicz czy coś takiego, czy trochę starszej. I ja napisałam taki wierszyk. „Chciałabym patrzeć w oczy twoje, rozkochanymi oczu, by pić z nich słodycz upojenia i szczęściem się zauraczyć”. Nie wiem, czy pamiętam dalej. I coś tam jeszcze. Więc sama się zdziwiłam, że takie wiersze napisałam. Ale jeszcze à propos wierszy to mój pierwszy wierszyk to był taki, w szkole, w tej szkole czerwonej przed wojną, to była szkoła imienia Jachowicza, to był bajkopisarz, to była piękna szkoła. Później jak Niemcy wkroczyli, to tam zajęli szkołę i pamiętam, że tam konie trzymali w tej. Ale wracając do tego wiersza. Przed wojną uczył mnie, nie wiem, czy śpiewu, chyba tak, czy jakichś przedmiotów, pan Madejski, który był bardzo lubiany. Ja napisałam tak: „A nasz pan Madejski dziś bardzo wesóły, prędko, prędiuteńko podąży do szkoły. Podąży do szkoły, by nauczyć dzieci, jak pachną kwiatuszki i jak słońce świeci, ale pragnie bardzo też nauczyć tego, by dzieci kochały pana Madejskiego”. Pierwsza klasa, 7 lat, to był mój pierwszy wiersz. Pan Madejski się bardzo wzruszył. Chcę powiedzieć, że wiele przeżyłam. Zresztą wielu ludzi, ale jeśli chodzi o mnie, to mnie nauczyło, że zachować pogodę ducha, ile tylko można mieć poczucie humoru, to bardzo ułatwia życie, bo osoby, które potrafią tylko narzekać i są negatywnie nastawione, to myślę, że im się trudniej żyje. Ale on nie wyraził chęci, bo po prostu już powiedział, że już miał dosyć wywiadów, już był starszy też czy co. Ale wiem, że szanowali mojego ojca bardzo, to mógłby mi coś powiedzieć, bo inaczej się patrzy, jak człowiek jest dorosły, jeszcze się wiele dowiaduje o swoim ojcu. Aha, jeszcze to już poza tym to tylko powiem panom, że później, już po wojnie, chodziłam do, już nie pamiętam, na jakiej ulicy była szkoła, bo potem już gimnazjum, to już normalnie właśnie Nałęczówka się nazywa. Bo profesorem był, znaczy kierownikiem był profesor Nałęcz. Że kiedyś szłam ulicą Młodą teraz w tej Falenicy z ojcem chyba. I usłyszałam, że ktoś woła: „Panie Marian, panie Marian”. Aha, bo jeszcze taki wstęp, że na Błotach potem mieszkała cała grupa dzieci żydowskich, które się uratowały z wojny, i oni chodzili z nami do tej szkoły, do tej Nałęczówki. I był taki Marek, Marek Sznajderman. Tak, Marek. I właśnie ten, który wołał: „Panie, panie Marian”, to się okazało, że to był Salomon, tylko on jest opisany w książce pani Wizimirskiej, ja nie pamiętam jego nazwiska. Co się okazało, że mój ojciec, on też był w obozie, tylko już nie wiem, w którym, czy na Majdanku, czy gdzie, i on gdzieś tak jakby też uratował tego chłopaka, bo go chcieli

chyba gdzieś zabrać, czy do gazu, czy co, gdzieś go pod łóżkiem przetrzymać. Ale to tak pamiętam tylko z opowiadań. I on potem właśnie zamieszkał w Falenicy na Błotach i zobaczył mojego ojca, i poznał. Więc to też takie spotkania, że ojciec jeszcze tam w tych obozach działał w jakiś sposób. On był taki śmieszny potem. Mnie bardzo lubił, że to ty jesteś córką tego pana Mariana. I coś mi powiedział. Szliśmy tak gdzieś potem. Nie wiem, co on mówi. „Służę ramionem”. Tak mówił. Tak śmiesznie.